

Nowomowa w służbie dekonstrukcji Kościoła

Elżbieta Wiater

Pewna sieć dyskontów spożywczych w wakacje postanowiła popromować czytelnictwo i oferowała tanio sporo książkowych tytułów. W pachnącym smakowicie farbą drukarską stosie wyszperałam *Rok 1984* Orwella i dopadłszy domowych pieleszy, rozpoczęłam lekturę. Pamiętam jeszcze nieboszczkę komunę, co prawda, w jej schyłkowym okresie, kiedy jedynie ziała szarzyzną, ale mimo to potrafię docenić mistrzostwo pisarza opisującego wątpliwe uroki totalitarnego systemu.

Szczególnie cenne są, przynajmniej dla mnie, uwagi odnoszące się do przemian związanych z językiem. Zacznę od cytatu: „Niszczenie słów to coś pięknego. Najwięcej oczywiście wyrzucamy czasowników i przymiotników, ale setki rzeczowników też są zupełnie zbędne. Usuwamy nie tylko synonimy, ale także wyrazy przeciwstawne. [...] z czasem pojęcie dobra i zła ograniczy się zaledwie do sześciu słów, a tak naprawdę do jednego [...]. Czy nie rozumiesz, że nadrzędnym celem nowomowy jest zawężenie zakresu myślenia? W końcu doprowadzimy do tego, że myślozbrodnia stanie się fizycznie niemożliwa, gdyż zabraknie słów, żeby ją popełnić”. To pełna pasji przemowa jednego z redaktorów słownika nowomowy, gorliwego wyznawcy Wielkiego Brata.

W książce, pisanej w latach czterdziestych XX w., degeneracja języka jest wymuszana produkowaniem coraz to nowszych wersji słownika obowiązującego slangu. Patrząc na to z perspektywy technologii XXI w., widzę, jaka to była prymitywna metoda. Współcześnie wystarczyło dać dzieciom i młodzieży zabawki w postaci wszelkiej maści urządzeń mobilnych z dostępem do sieci i opisane powyżej marzenie o nowomowie ograniczającej drastycznie słownictwo stało się faktem. Mam okazję tego często doświadczać, jeżdżąc komunikacją miejską. Młodzież, zmuszona

do rozmowy twarzą w twarz, ma olbrzymie trudności z poprawnym formułowaniem zdań i, co według mnie ważniejsze, nie potrafi opisać tego, co doświadcza. Język polski, bazujący na odcieniach znaczeniowych, sugestiach i grach słownych, staje się swoim własnym cieniem, w dodatku dość pokracznym. Możemy się tu kłócić, czy cyfryzacja relacji jest przyczyną, czy skutkiem (w końcu „komunikacja” zapośredniczona elektronicznie jest łatwiejsza, nie wymaga tak dotkliwej konfrontacji, więc ktoś może uznać, że stała się tak popularna właśnie z tego względu), jednak zubożenie słownictwa jest faktem.

A za nim, jak słusznie zauważył Orwell, idzie zubożenie wewnętrznego świata i relacji ze światem zewnętrznym. Niezdolność do opisanego jest niezdolnością do wyrażenia: siebie, świata. A jeśli jestem do tego niezdolna/y, niemożliwe staje się porozumienie, czyli komunikacja. Szczególnie że we wcześniejszych epokach pozostawała jeszcze większa część komunikatu zawarta w mowie ciała. Współcześnie ten aspekt nie gra roli, skoro rozmawiam z ekranem lub profilem na portalu społecznościowym, a nie stoję wobec twarzy i sylwetki innej osoby. Może stąd popularność internetowych memów i wszystkiego, co stanowi przekaz ikonograficzny: nie trzeba opisywać, skoro można pokazać. Ale co z tą częścią ludzkiego poznania i refleksji, której nie da się wyrazić graficznie? Której kości, mięśnie i ścięgna stanowią słowa, pojęcia i definicje?

W tej sferze ma miejsce zjawisko, którego świetnym przykładem jest debata wokół niedawnego Synodu na temat rodziny, a dokładniej wokół dwóch z poruszanych na nim tematów, mianowicie Komunii dla rozwodników w ponownych związkach i dopuszczenia błogosławienia związków homoseksualnych. Radośnie zapominają się w niej o zasadzie, którą świetnie oddaje obowiązująca w prawie kanonicznym reguła: *clara non sunt interpretanda* (oczywiste kwestie nie podlegają interpretacji). W ramach pogłębiania refleksji nad katolickim rozumieniem sakramentu małżeństwa podjęto także próbę dekonstrukcji podstawowych pojęć i definicji, zmieniając ich znaczenie lub, co wydaje mi się ostatecznym celem, zamieniając je w kategorie płynne, pozbawione granic. Jak w słowniku nowomowy próbowano jednym słowem – małżeństwo – określić cały zespół zjawisk, ignorując fakt, że w ten sposób

dokona się dezintegracja poznania. A dezintegrując poznanie, rozbijamy komunikację.

W tym celu stosowana jest metoda także opisana przez Orwella: tam przepisywano gazety i dokonywano cenzury książek w bibliotekach. W Kościele przepisuje się Biblię, tworzy kosmiczne, choć raczej powinnam napisać – chaotyczne (bo w nich nie ma ładu, czyli grec. kosmos) interpretacje i tłumaczenia na języki współczesne, które nie liczą się wcale z językami oryginału i kontekstem historycznym, w jakim powstawały kolejne księgi tego Księgozbioru (choćaby interpretacje wychodzące z kręgów ruchów LGBT czy tłumaczenia tzw. inkluzywne). Historiografię traktuje się równie wybiórczo jak słowniki, co zrywa komunikację nie tylko na poziomie współczesnych sobie ludzi, ale też więź między pokoleniami, między mistrzami przeszłości a współczesnymi. Jesteśmy karłami na plecach olbrzymów – jeśli o tym zapomnimy, czeka nas wyważanie drzwi, które oni dawno otworzyli. Zamiast pójść do przodu, będziemy mozolnie dochodzić do tego, co dawno zostało nazwane i odkryte.

Cytowanemu pisarzowi umknęła jeszcze jedna metoda zakłamywania świata i przejmowania nad nim kontroli – zastosowanie nadmiaru określeń. Świetnym przykładem jest tu aborcja. Pewien czas temu po necie krążyła grafika, na której w sylwetkę dziecka w łonie matki były wpisane omownie, jakich się używa, by nie napisać wprost o tym, że jest to zabicie dziecka. Przerwanie ciąży, wywoływanie miesiączki, usunięcie problemu, terminacja, redukcja płodów... Zamiast jednego słowa całe morze, które ma ukryć brudną prawdę dającą się opisać bardzo prosto i klarownie. Tu pojedyncze słowo o zbyt szerokim zakresie pojęciowym zostaje zastąpione nadmiarem słów, czyli bełkotem, który na dłuższą metę męczy, szczególnie kogoś przyzwyczajonego do zastępowania przekazu słownego pismem obrazkowym. Co najważniejsze – bełkot oducza też dyscypliny myślenia i kieruje ku sposobowi życia, w którym decyzje podejmuje się, kierując się nie tyle rozeznaniami, co zmiennymi, nienazwanymi emocjami. Tylko jak je nazwać, jeśli nie ma się odpowiedniego, werbalnego „instrumentarium”? I tu znów wracamy do człowieka wychowanego przez cyfrową nowomowę.

W adhortacji *Evangelii Gaudium* Papież Franciszek zachęca gorąco do ponownego rozbudzenia misyjnego zapału w Kościele. Jednak żeby pójść i głosić, trzeba wiedzieć, co chcemy głosić. Od dwóch tysięcy lat Kościół, prowadzony przez Ducha Świętego, wypracowuje zgodne z prawdą, bo z Bożym ustanowieniem, definicje i zakresy znaczeniowe pojęć. Jeśli teraz zajmiemy się ich dekonstruowaniem, z pewnością nie wpłynie to zbyt dobrze na misyjność Kościoła. Staniemy się jeszcze jednym z „centr rozrywkowych”, dostarczających tymczasowej tożsamości i określonego rodzaju emocji, jednak nie będzie na czym zbudować wspólnoty, bo jedna z jej najistotniejszych więzi, którą jest rozpoznana i uznana prawda – zniknie. Pozbawiając znaczenia nasze słowa, pozbawiamy znaczenia samych siebie. Bez względu na to, czy robimy to, likwidując bogactwo słownictwa, czy proponując (niby)pobożny bełkot. ■